



WARSZAWA

dnia 27 Stycznia (10 Lutego)

1876 r.

Wychodzi w każdy Czwartek.

CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rsr. 6; półrocznie rsr. 3; kwartalnie rsr. 1 kop. 50; miesięcznie kop. 50.
Na Prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rsr. 8; kwartalnie rsr. 2.

REDAKCJA

przy ulicy Mazowieckiej Nr. 1351.

(nowy 11).

Tamże przyjmuje się ogłoszenia.

Do M. B.

(Z powodu wiersza jej „Słowik w Klatce“ zamieszczonego w Nr. 5 „Ogniska Domowego“).

Nie płacz, Ty dobra, nad słowika dołą,—
Są stokroć gorsze nad klatkę niewole,
Co bardziej gniotą i dotkliwiej bołą,—
Nie tych, co piętno ich noszą na czole.
Takiemi: serca i ducha zimnota,
I wstętu do piękna a pociąg do—błota!

Czy znasz, Ty smutna, smutniejszą rzecz w świecie
Nad pierś bez czucia na bliźnich cierpienie,
I rzecz smutniejszą nad bezwonne kwiecie,
Nad zar, którego nie grzeją płomienie,
Nad głos, co głośny a bez echa ginie,
Nad zimne, puste, bez bóstwa świątynie,

Nad ironią co plwać tylko umie,
Nad obojętnością niezdolną zapалу,
Nad pychę w własnym li ufną rozumie,
Nad starą młodość próżną ideału,

Nad marne próchno, które błyszczy zdala
I ach! nad ptaka, co swe gniazdo kała!

Nad takim ptakiem, zapłacz, smutna, rzewnie,
Bo nad słowika w gorszej ten niewoli,—
Bo to ptak nocy, bo jego oh! pewnie
Ni brak swobody, ni światła nie boli.
Otwórz mu klatkę i pokaż że świeci
Słońce na niebie,— on w słońce nie wzleci!...

O! nad takiemi, płacz, Ty dobra, w pieśni,—
Bo nie ma nędzy nad nędzę tych ciemnych,
Bo o ich zgonie słowik nawet nie śni,
Bo oni pójdą do krain podziemnych,
Pójdą, gdzie wszelka zginęła pociecha...
Bez echa żalu i—bez pieśni echa!

G. C.

SŁÓWKO O POLEMICE LITERACKIEJ.

— O polemice!... aha!... Więc panowie... tego...
w „Ognisku Domowym“...

— Co pan dobrodziej (pani dobrodziejka) chcesz
przez to powiedzieć?...

— Nic — tylko... ja myślałem (myślałam), że...

— Że co?...

— Że „Ognisko“... w polemiki...

— Wdawać się nie będzie? Wszak tak?... Uspokój-
cie się szanowni państwo, — i my tak myśleliśmy, a dziś
jeszcze bardziej tak myślimy. Przedtem sądziliśmy, że
polemika właściwie literacka i naukowa, nietylko nie
byłaby w ramach pisma naszego anomalią, ale owszem

mogłaby się wielce przyczynić do ożywienia samego pi-
sma i do podniesienia korzyści z niego dla czytelników
spłynąć mogących...

— No, a kiedy tak, co zresztą rzecz słuszna i spra-
wiedliwa, żeby czytelnicy z pisma które prenumerują,
jak największe odnosili korzyści, to dla czegoż nie tego...

— Dla tego, szanowni państwo, że z każdym dniem
przekonywamy się bardziej i dowodniej, iż w obecnym
stanie naszego nastroju umysłowego, w obec ogólnego
mniej więcej temperamentu dzisiejszej literatury naszej,
polemika prawdziwie literacka, polemika poważna, przy-
zwolita, umiejająca uszanować i sam przedmiot sporu,

i siebie, i przeciwników swoich, staje się a raczej stała się już podobno czystym prawie niepodobieństwem.

Nie chcemy, ani nie możemy wdawać się tutaj w rozbiór przyczyn, które zjawisko to wywołały, gdyż by nas to zdaleko zaprowadziło, — ale faktem jest, któremu podobno nikt nie zaprzeczy, że, w ostatnich zwłaszcza czasach, w zastępie naszych pracowników pióra dziwna zapanowała drażliwość, czy wygórowana miłość własna, która wszędzie, we wszystkim i przedewszystkiem widzi swoje ja, o którego nietykalność niewypowiedzianie jest troskliwą. *Noli me tangere*, stało się hasłem, które z nadzwyczajną skrupulatnością stosujemy... niestety! tylko do siebie, nie do drugih. Chociaż się zdarzy, że ktoś wystąpi z zarzutami, z krytyką samej treści, pojęć, zasad, dążności jakiegoś pisma, książki, artykułu — (co zresztą, przyznać trzeba, zdarza się dosyć rzadko), — to autor artykułu lub książki, albo redakcja pisma, biorą to po prostu za osobistą obrazę, i w odpowiedzi, której nigdy nie zostają dłużni, stają odrazu na stanowisku obrażonych, a jako tacy, starają się być nawzajem o ile możliwości jak najbardziej obrażającymi. Raz na tę drogę sprowadzona polemika, toczy się już i dalej tym torem, przyczem dość często się zdarza, że powoli obadwaj zapaśnicy zapominają coraz bardziej o właściwej przyczynie, która polemikę wywołała; jeżeli w artykułach pierwszych była mowa o książce lub obrazie p. X, skrytykowanym przez p. Y, to w artykułach końcowych nie znajdujemy już prawie wzmianki o książce lub obrazie, a spór, niezawsze trzymający się ściśle elementarnych warunków przyzwoitości, toczy się już jedynie o to, czy pan X jest mędrszym, lepszym, zacniejszym i t. d. od p. Y., czy przeciwnie. Trwa to dopóty, dopóki wreszcie jeden z zapaśników nie opamięta się, i przyszedłszy do przekonania, że tą bronią którą go atakuje przeciwnik, walczyć dłużej własna mu godność nie pozwala, nie schowa do pochew oręża i nie ustąpi z pola. Bój zatem kończy się smutnym tryumfem jednego z walczących, nie wydawszy żadnego rezultatu dla rzeczy samej, nie wyświeciwszy zupełnie sprawy o którą chodziło, nie przyniosłszy żadnego pożytku, żadnej zdrowej karmy umysłowej dla ogółu czytających, owszem zgorzyszywszy go i zatruty fatalnym przykładem osobistej waśni i zawiści ze strony tych, których obowiązkiem właśnie jest: świecić przykładem poświęcenia osobistości na ołtarzu dobra publicznego.

Temu to nieszczęsnemu ustrojowi wzajemnych stosunków w świecie naszym literackim przypisać należy w znacznej części między innymi i to, że literatura nasza, mianowicie peryodyczna, nie wywiera na massy, na ogół, takiego wpływu, jaki wywieraćby mogła i powinna. Przykład idzie z góry, panowie! Czy wiecie jaki skutek przedewszystkiem wywołują w massach nasze nauki, napomnienia, «nawoływania» jak je nazywać lubicie?... Oto ten, do którego samiśmy drogę wskazali; wywołują oburzenie, wywołują *obrazę osobistą*! Każdy kto się czuje choć cokolwiek admonicyą dotkniętym, poczytuje się za obrażonego, sroży się, i niezdolny wystąpić z nami w literackie szranki, innego rodzaju zwykle odgraża się repressyą. Rozsądniejsi, umiarkowańsi, wykształceńsi zresztą, kiwają smutnie głowami. «Może to i prawda, — mówią albo myślą sobie — może wiele jest słuszności w tem co nam prawicie, — ale cóż z tego? Na co się to zdadać próżne słowa! Przykład zawsze najlepiej, i podobno jedynie, nauczyć czegoś może. Dajcie nam więc przykład zgody, jedności, wzajemnego poszanowania, miłości, wspólnej pracy dla ogólnego dobra, poczucia własnej godności, — a wtedy dopiero, jeśli was naśladować nie będziemy, «nawołujcie» nas do tych wszystkich cnót, których w takim razie prawdziwymi kapłanami będziecie. Dopóki tak się nie stanie, głos wasz, po stare-

mu, będzie głosem wołającego na puszczy. Kto chce sąsiada za nieporządek strofować, musi wprzód własną izbę umieścić do czysta»...

Tak mówią, wierzajcie nam, ci maluczy na duchu, których my, z wysokości naszych trójnogów, tak zamaszycie chłoszczemy nieraz za różne przewinienia przeciw zgodzie, wzajemnemu poszanowaniu, wspólnej pracy, poczuciu własnej godności, i t. d. — Uderzmy się w piersi i przynajmniej, że ci maluczy mówią dobrze!...

Jeszcze jedna uwaga. Nie jesteśmy z tych, co to lubią «ucztować jak zbójce lub mnichy»: — śmiech, wesołość, dowcip, humor nie są nam bynajmniej wstrętnymi; — ale jesteśmy tego przekonania, iż najprzód są pewne położenia i względy ogólne, które czasami zapędy humorystyki i zbytniej wesołości do pewnych granic miarkować nakazują, — a następnie, że pominąwszy nawet te ogólne względy, dowcip i humorystyka nie wszędzie są na swoim miejscu. Tymczasem rozwielmożyły się one obecnie wielce w bieżącym piśmiennictwie naszym, a szczególnie szerokie pole zastosowania znalazły w owych harcach polemicznych, o których wyżej była mowa. Otóż zdaniem naszym, jeżeli gdzie, to tutaj są one nie na swoim miejscu. Użyte jako złośliwy czynnik do dokuczania przeciwnikowi, do ośmieszenia go, do obrzucenia go niejako moralnem błotem, schodzą już tem samem do najniższej swojej kategorii, — a czepiając się, nierzadko z wielkim cynizmem, poważnych rzeczy, a choćby nawet tylko poważnych osób, rażą przyzwoitość, dobry smak i budzą wstręt w najobojętniejszym nawet, byle posiadającym wykształcone uczucie estetyczne człowieku; — nie przekonają nikogo, choć czasem uśmiech wywołują na usta. Dowcip, humor, nie są bronią do walki o sprawy poważne.

Zresztą w ogóle biorąc, to nadmierne rozsiadanie się humorystyki w piśmiennictwie naszym, niedobrym, według nas, jest objawem. Nie mówiąc o innych względach, w każdej społeczności, w każdej jednostce, choćby najszcześniejszymi cieszącą się stosunkami, zbytek wesołości, niezwykła skłonność do śmiechu, są objawem ujemnym, cechującym co najmniej bezmyślność. Czyż my, bardziej niż ktokolwiek inny, nie powinniśmy strzedz się tego rodzaju objawów?...

«Nawołujemy» ogół do brania życia na seryo, a sami do jednego z najdosłojniejszych objawów naszego życia, do piśmiennictwa, wprowadzamy żart, szyderstwo, powiemy urąganie ze wszystkiego, nawet z tego, co powinno być dla nas świętem i nietykalnem. Czyż to nasza droga? Czyż tak daleko zaszedliśmy, że drogi tej porzucić już nie jesteśmy w stanie?...

Mielizbyśmy pozwoili, aby dzięki upornemu naszemu obstawaniu przy raz obranym, a raczej, chcemy wierzyć, fatalnym zbiegiem okoliczności pochwyconym kierunkowi, dało się do piśmiennictwa naszego zastosować to, co o jednym z najstarszych miast naszych powiedział poeta:

«Biedny grodzie! jak dziwnie wyglądasz w tej dobie!
«Jak purpura królewska uwalana w śmieci,
«Jak nagi szkielet człeka co już spoczął w grobie,
«A w błazna szaty puste ubrały go dzieci!...

Nie sądźmy; — a lubo nie rościmy sobie pretensyi, ani nie łudzimy się zbytą nadzieją, aby słowa nasze osiągnęły skutek jakiegobymy pragnęli, — zdawało nam się jednak powinnością naszą wypowiedzieć te kilka myśli i uwag podyktowanych nie żadnymi osobistymi lub koterijnymi widokami, ale miłością ogólnego dobra i poczuciem ciężących na nas obowiązków. Powinność tę spełniamy — reszta w rękę Boga i w sercach i sumieniach tych, do których słowa te głównie zwracamy. —

Co do nas, starać się będziemy jak najściślej stosować do tego niejako wyznania wiary, wypowiedzianego

wyżej. W «Ognisku» trzymać się będziemy zdala od polemiki, wyjąwszy polemikę *rzeczywiście naukową*. Zaczepiać nie będziemy nikogo, ani też na zaczepki odpowiadać, — chyba jeśli one nastawać będą na nasze zasady i przekonania, których bronić zawsze będziemy mieli obowiązek, prawo i odwagę, — i jeśli uczynione nam będą w warunkach, w których poczucie własnej godności i sta-

nowisko strażnika dobrego smaku, na którym wszystkie pisma stać powinny, na przyjęcie wyzwania nam pozwolą.

Jak się z tego postanowienia wywiązać zdołamy, o ile sił na jego wypełnienie nam starczy, przyszłość okaże, a Czytelnicy nasi osądzą.

Z KRONIKI ROBZINY ZIEMIAŃSKIEJ,

SPISAL

Kaz. Wł. Wójcicki.

(Ciąg dalszy.)

IX.

Państwo Bonifacowie *honeste*, jak się wyrażała sama pani Teofila, wystąpili w *ostatni wtorek*. Rzeczywiście wieczór wspaniale był urządzony, a że wypadało wcześniej zakończyć karnawał, goście już się zebrali około ósmej i zaraz tańce rozpoczęto.

Pani *Senatorowa*, która już cieszyła się drugim mężem, rozpoczynając poważnego poloneza z panem Bonifacym, stanęła ochoczo w pierwszą parę do mazura z Tarnowskim; bojaźliwy Adam, idąc w drugą parę za konkurentem panny Jadwigi, z Ewunią, gdy się rozruszał, nietylko nie stracił z nim na porównaniu, ale w około usłyszał pochlebny szmer kobiet, które go nachwalić się nie mogły, jak powabnie wywija z piękną tancerką, jaka to dobrana wybornie para.

Pan Bonifacy z rozkoszą serca spoglądając na ukochane swoje dziewczątko i dzielnego jej towarzysza, pierwszy raz sam się gorliwie zajął, ażeby hojnie winem częstować zebraną młodzież, i zachęcał do nieustawiania w zabawie, bo post wielki już za pasem.

Wieczereżę wspaniałą zastawiono przed jedenastą godziną, a tak się zwiłano, że gdy dwunasta o północy uderzyła, gospodarz domu szanując wiejski staropolski zwyczaj, ukazał się z łaską swoją, na której końcu pęk grubo śledzi był zawieszony.

Zbliżył się najpierw do pani *Senatorowej*, która z przerażeniem się cofnęła.

— A pfe! zawołała, ja zapachu śledzia znieść nie mogę!

— Niech pani łaskawa, — odrzekł pan Bonifacy — tych się tak nie lęka, bo to warszawskie, w Wiśle poławiane!

Jakoż za blizszem przypatrzeniem przekonano się, że zręcznie były naśladowane ze smacznych marcepanów. Na tę wiadomość chętnie rozerwano niespodziany przysmak.

Umilkła muzyka, gospodyni domu nie śmiała do tańca zachęcać, rada nawet temu była, widząc jak Tarnowski ożywioną prowadził rozmowę z jej Jadwigą.

Pani *Senatorowa* usiadłszy przy niej, przemówiła:

— Ale, ale, czy wiesz kochana pani, kto się z waszych znajomych żeni, i to dawny sąsiad?

— Nic nie wiem, odrzekła pani Bonifacowa, spoglądając z pod oka z uciechą, że konkurent coraz więcej zbliża się do jej starszej córki.

— Dowiedziałam się wczoraj, mówiła nachylając się i zniżając głos, że ten bogacz wasz Sirawski, oświadczył się o rękę córki jakiegoś starego profesora, który głód marł z nędzy za Wolskimi rogatkami.

— Ale to być nie może! Pan Bazyli, który zawsze taki wybredny w tym względzie, a wreszcie i w pewnych latach..

— To prawda — odparła pani *Senatorowa* — że człowiek niemłody, ale jeszcze dorodny mężczyzna, i nie jednego by on młokosa przeskoczył... Że też to on nie uderzył o rękę Jadwini albo Ewuni.

— Uważaliśmy go z mężem za starego dla naszych córek; wreszcie one nie potrzebują się łakomić na jego majątek, mają swego dostatkiem... dodała z dumą pani Teofila.

Senatorowa uderzona tą wiadomością, rachowała posag każdej jej córki przynajmniej na pół miliona, a życie wystawne i kosztowne państwa Bonifacych popierało ten domysł. Uradowana że wynalazła tak dobrą partję dla swego protegowanego, po chwili milczenia przemówiła:

— Wszyscy się też dziwią że człowiek majątny, poniża się do takiej panny ubogiej. Ale panna musi być kuta na cztery nogi, kiedy tak doświadczonego człowieka, co zwiedził niemal świat, potrafiła przywabić. Mówiono mi że nawet nie ładna, ale któż może stanowcze zdanie wyrzec o guście mężczyzn!..

Rozmowa się przerwała, bo gospodyni domu musiała powstać dla polecenia aby różniesiono jeszcze herbatę.

Około trzeciej godziny rano rozjechali się goście. Jakkolwiek zwolna, zbliżała się coraz więcej pewna nadzieja wydania starszej córki za Edmunda Tarnowskiego, bo widocznie okazywał zajęcie się nią coraz żywsze. Pani *Senatorowa* za każdą bytnością opowiadała wymownie jak się w pięknej Jadwidze rozlubował, i wyznał jej pod sekretem, że jeszcze żadna kobieta nie zrobiła na nim takiego wrażenia jak starsza córka państwa Bonifacych. Ubolewał nadto, że wkrótce musi opuścić Warszawę, albowiem wyjeżdża do dóbr swoich na Podole, ale niedługo powróci, i spodziewa się że rodzice Jadwini nie odmówią mu dalszych swoich względów. Pani Teofila uroczyście w swoim i męża imieniu zapewniła, że pod tym względem może być zupełnie spokojnym Pan Tarnowski.

* * *

Na trzeci dzień po *Popielcu* zajechała karetą na saniach i kilka sań fernalskich przed skromny dworek starego profesora. Pisarz Sirawskiego, po doręczeniu listu od swego pana, wysłał naprzód Seklucjana z córką w karecie, a po nich wszystkie sprzęty z mieszkania starannie upakowawszy, ruszył z niemi na całą noc wprost do Zakrzewia.

Na pół mili od Wólki Słomianej, starzec pierwszy dojrzał Bazylego na dzielnym wierzchowcu. Klara zatopiona w rzewnych myślach o swej doli, dopiero spojrzała na radosny wykrzyk ojca. W całej urodzie męskiej i piękności ukazał się jej oczom narzeczoną. Serce jej uderzyło silniej, żywy rumieniec okraślił lica.

— Prędzej! prędzej popędzaj! wołał rozpromieniony szczęściem i radością Bazyli, a sam pędził przy saniach galopem.

Na odgłos dzwonek, ganek we dworku cały się do razu zaludnił. Stała w nim na czele pułkownikowa, kapitan, panna Kunegunda i domownicy. Seklucyan ze łzami radości witał serdecznie pułkownikową, ścisnął Pawła, pozdrawiał wszystkich. Klara upadła do nóg sędziwej matronie.

— O! ciociu moja kochana! zawołała rzewnym głosem, wyciągając do niej ręce, bądź dla mnie matką!

Pułkownikowa nie odrzekła słowa, ale ujęła ją w swoje objęcia, a ucałowawszy serdecznie, wprowadziła copędzej do pokoju. Wesoło i gwarnie bawiono się w szczupłym dworku kapitana; czas szybko ulatał; panna Kunegunda skrycie wysłana do Warszawy, przywiozła gotową wyprawę dla panny młodej, którą zamówił Bazyli. Sam wyjeżdżał kilkakrotnie do Zakrzewia czy wszystko już w pogotowiu. W wigilię ślubu przybył Adam.

W ciągu tych kilkunastu dni, zima znikła powoli, śnieg roztajał, lody z rzek spłynęły: czuć było pierwszy powiew wiosny.

W przeddzień imienin Seklucyana, Bazyli złożył mu przy powinszowaniu, w najpyszniejszych wydaniach zbiór klasyków greckich i rzymskich, bo wiedział że tym

ciężka moja zgryzota! Kiedy on będzie przecie mężczyzną!...

— Jak się ożeni, kochany stryjaszku, odrzekła na to jeszcze ciszej, śmiejąc się wesoło.

Ślub odbył się w cichości. Siwy jak gołąb proboszcz miejscowy, który błogosławił jeszcze panu Bonifacemu, połączył młodą parę.

Wczesny obiad zastawiono i prędko go spożyto, poczem wszyscy ruszyli do Zakrzewia. Rudzicki ich wyprzedził.

Obszerny dwór murowany, stojący pod cieniem świerków, lip i dębów, był w całości odnowiony: domownicy i czeladź dworska czekali z upragnieniem przybycia państwa, a przyjazd pana Adama ruch niezwykły wśród nich obudził.

Mrok już zapadał i poczęto zapalać światła, gdy zajechały dwa pojazdy. Z młodzieńczą żywością wysiadła pułkownikowa; podano jej tacę, na której leżał chleb i sól; a ona stanęła na progu domu, przy niej sędziwy profesor, obok proboszcz i kapitan. Niebawem głośny trzask bicia oznajmił przybycie państwa młodych i orszaku weselnego.

Klara z nieopisanem wzruszeniem, wjechawszy na duże podwórze, przyglądała się temu dworowi, w którym całą swą przyszłość zamknąć miała, gdzie miała stanąć

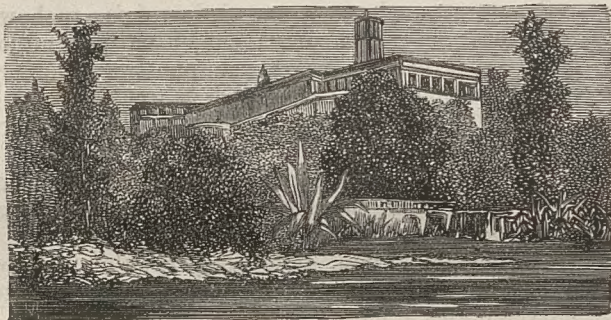


Fig. 12. Szapoltepek.



Fig. 13. Willa Borghese.

darem serce starca najwięcej uweseli. Jakoż zacny profesor nie posiadał się z radości, co chwila każde z dzieł przglądał, unosząc się nad pięknnością i sumiennnością wydan.

Nadszedł wreszcie dzień tak upragniony przez Bazyłego. Skromny kościółek w Wólce Słomianej zasłano dywanami, przystrojono w kwiaty. Kiedy zaszły pojazdy, Klara w białej sukni, z wieńcem rozmarynowym na czole, odebrawszy błogosławieństwo ojca i pułkownikowej, wsiadła z nią do karety, a za niemi Bazyli z ojcem, dalej kapitan, panna Kunegunda jako druchna i Adam jako družba.

W połowie drogi Klara z radością usłyszała pierwszego skowronka.

— Moje dziecię, przemówiła ciotka, to dobra wróżba dla ciebie i twego przyszłego męża. O! to zacny człowiek, powinnaś go kochać i czcić, bo będzie troskliwie czuwał nad twojem szczęściem... Klara w milczeniu ucałowała ręce sędziwej matrony.

Na progach świątyni ukazała się nagle Ewunia, jako druga druchna. Miłą tę niespodziankę za wiedzą pułkownikowej urządził kapitan, ażeby uradować pana młodego. Panna Kunegunda skrycie przed dwoma dniami przywiozła ją z Warszawy, na prośbę listowną pułkownikowej do państwa Bonifacych.

Klara rozrzuwiona, serdecznie dziękowała za ten nowy dowód życzliwości rodziny dla siebie, a pan Adam stał jak skamieniały, nie śmiejąc nawet słowa wyrzec.

— *Sapristi!* ten Adaś, poszepnął Ewuni kapitan, to

jako kapłanka na straży domowego ogniska. Z nalezną pokorą przyjęła chleb i sól od sędziwej ciotki, jej i ojca nowe błogosławieństwo: poczem proboszcz przywdziałwszy komżę, siedł przodem, obchodząc wszystkie pokoje, poświęcając dwór jakby nowy.

Młoda małżonka obok sypialni znalazła komnatkę wyłącznie dla siebie poświęconą. Stroiły ją kwiaty, piękne sztychy, litografie i drzeworyty, przedstawiające wizerunki zasłużonych krajowi mężów, albo też widoki piękniejszych okolic. Duża klatka miała kilka par kanarków, w dwóch obszernych szafach zbiór gustownie oprawnych książek, przedstawiał biblioteczkę z najlepszych pisarzy polskich. Przy jednej ze ścian bocznych stał klęcznik hebanowy, na nim krzyż ze Zbawicielem z kości słoniowej artystycznie wykonany, a na ścianie wisiał piękny obraz olejny Boga-Rodzici. Na środku pokoju stół wielki dębowy, kosztownym dywanem pokryty, na nim wszystkie przybory do pisania, przy oknie krosienka misternie wykonane, z drugiej strony kołowrotek do przedzenia.

Kiedy Bazyli wprowadził ją do tej komnatki, Klara rozrzuwiona, z zakławionemi oczyma, obejrzawszy się w około, porwała jego rękę, przytuliła do serca, a potem do ust poniosła. Małżonek odwrócił głowę, aby ukrył łzy radości i przycisnął do piersi ukochaną istotę.

— Chodźmy teraz, droga Klaruniu, — wyrzekł drżącym głosem, — naszego ojca wprowadzić do jego mieszkania.

Ona z radością nietajoną biegła naprzód i podała starcowi rękę.

— Tateczku kochany,—mówiła,—proszę z sobą, teraz zaprowadzimy go do jego pomieszkania.

Bazyli roztworzył drzwi pobliskie. Był to pokój obszerny o dwóch wielkich oknach. W nim, przy zbiegu dwóch ścian, wznosił się staroświecki z okapem kominek, a na nim suty gorzał ogień, bo wiatr marcowy coraz lepiej poświstywał. W czterech nowych szafach mieściła się i jego dawna biblioteka i nowe nabytki w przepysnej oprawie. Wprost kominka stało łóżko wygodne już zasłane, bliżej jednego okna stół długi, zielonem suknem pokryty, do pracy, a przy nim ulubiony fotel pana Seklucyana. Na ścianach wisały obrazy i sztychy przewieszone z Warszawy, równie jak i wszystkie sprzęty, do których starzec przywiązywał wartość pamiątkową. Przy małym na uboczu stoliku stało krzesło z poręczami, w którym przesiadywała matka Klary. Na ten widok starzec wydał okrzyk podziwienia, a potem ściskając serdecznie zięcia, wyrzekł rozrzuwionym głosem:

— O! mój Bazyli kochany! niech ci Bóg dobry szczęściem całego życia odpłaci za tę radość jaką mi sprawiasz!

Wkrótce zastawiono sutą kolację. Państwo młodzi zajmowali pierwsze miejsce, a obok siedziała pułkownikowa, z drugiej proboszcz z ojcem.

Na wzniesione przez kapitana zdrowie nowozaślubionych, odpowiedział Bazyli toastem na cześć i powodzenie wszystkich obecnych, nie pomijając przyszłej pomysłności Ewuni, z którą imię Adama Rudzickiego połączył.

Ewunia z wdzięcznym uśmiechem podziękowała kuzynkowi za dobre życzenia, ale pan Adam stał jak skamieniały, i gdy mu kapitan przypominał kieliszek, zachłysnął się nim nieborak.

— *Sapristi!* Ewuniu droga, synowico moja, daj też dymisję temu niedołędze, co nawet biednego kieliszka wina uczciwie wypić nie umie!

— Kochany stryjasku,—odrzekła,—zaręczam że z czasem, pod opieką kochanego stryjasku, i na to się zdobędzie.

O dziesiątej wieczorem całe towarzystwo, zmęczone nieco podróżą, udało się na spoczynek.

(C. d. n.)

Z DZIENNIKA PODRÓŻY PO ŚRODKOWEJ AFRYCE,

oficera francuzkiego **Linant de Bellefonds.**

(Dokończenie.)

«Środa 14 kwietnia. Byłem u króla, który pokazywał mi dziś wnętrze swojej rezydencji; jest to cały szereg dziedzińców mieszczących w sobie po jednej lub po kilka chat, a każda z nich zamieszkała jest przynajmniej przez dwadzieścia kobiet. Chaty są dobrze zbudowane, dziedzińce czyste, nie znajdziesz na nich nawet żdźbła słomy. Całą rezydencję okola parkan trzcinowy, wysoki na trzy metry.

«Z rezydencji Mtezy, rozwija się widok zachwycający. Panuje on nad wszystkimi okolicznymi wzgórzami. Zazielenione łąny wdziecznie się przeginają jak fale morza w najrozmaitszych kierunkach. Wioski bez liku rozsiadły się bądź na pagórkach, bądź pozapadały się w doliny kąpiące się w gajach bananowych. Wszystko tu oddycha życiem i wspaniałą, bogatą przyrodą. Na południu widać jakby olbrzymią, srebrną taflę zwierciadła: to wody jeziora Wiktorya.

«Mteza, co znaczy w miejscowym narzeczu: «dobroczynca, prawodawca», wybornie umiał obrać miejscowość dla swej rezydencji. Okolica to czarowna, zdrowa, bogata.

«Zaledwieśmy weszli do wnętrza rezydencji, mnóstwo kobiet różnego wieku, cery mniej więcej ciemnej, nosa płaskiego, grubych warg, silnie zbudowanych lub wątych, oczu osadzonych poziomo lub skośnie, — rzuciły się za królem, darząc go «nianzings» (ukłonami) bez liku. Naturalnie, rasy bardzo są pomieszane w Ganda; masz tu afrykańskiego Negra, Abissynczyka, Gallasa, Zanzibarczyka, rasy semityckie, — a przedstawicielek wszystkich tych typów znajdują się w seraju królewskim.

Zupełnie czarny kolor kobiet z Bari, miedziana cera Abissynek i żółto-brunatny odcień ras semityckich zlewają się tu mniej lub więcej zgodnie.

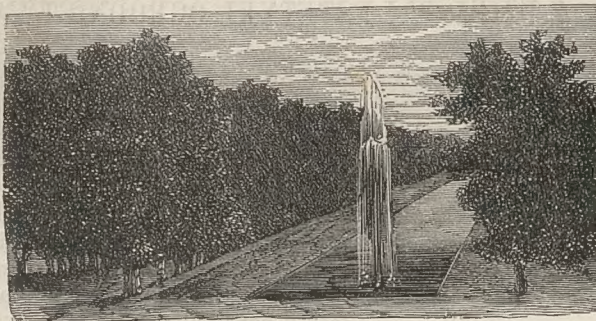


Fig. 14. Wielki kanał w Fontainebleau.

«Porządek w którym postępujemy nie zgadza się z przyjętym we wszystkich krajach ucywilizowanych. Na przedzie postępuje wezyr i kilku Mtongalisów (tylko najpoufalszych), ja idę przed królem, a poczet żeński zamyka pochód. Ile razy się zatrzymujemy, kobiety się schylają, zbijając się w jednolitą masę, aby nam nie zasłaniać rozwijających się na okół widoków.

«W czasie jednego z takich przestanków, król prosi mnie abym zdjął «kufiech», a to w tym celu, żeby kobiety mogły mi się lepiej przypatrzeć; czynię zadosyć jego żądaniu, i w tej chwili ogłuszony zostaję wrzawą setek okrzyków: «gromghi» co ma oznaczać: jaki piękny! Bardzo mi to pochwlebia; wszelako, niech mi raczy darować Mteza gdy wyznam szczerze, że przeniósłbym jedno najlżejsze skłonienie głowy europejskiej naszej damy, nad te oznaki powszechnego uwielbienia jego haremu.

«Ubiór tych kobiet składa się z jednej sztuki wyrobionej z kory drzewnej, lub z cienkich skór kozłecy, silnie ściśniętej opaską powyżej gorsu. Temu to zapewne obyczajowi, wprost przeciwnemu używanej w Europie sznurówce, przypisać należy wadliwą a nawet wstrętną budowę biustu u kobiet tutejszych.

«Na szyi noszą one rodzaj naszyjnika ze szkielec, dosyć oryginalnego, i który wcale ładnie wygląda. Naszyjnik ten tworzy obwód dokładnie kolisty; wewnątrz znajduje się włókno bananowe na który nanizane są

ciasno perelki najrozmaitszych odcieni. Głowy mają wygolone i najzupełniej огоłcone ze wszelkich ozdób; nie noszą ani bransolet, ani koleczyków.

«W kraju Ganda wielożeństwo nie naraża bynajmniej na rujnujące wydatki ani króla, ani ludzi prywatnych, jak się to dzieje na całym wschodzie; przeciwnie, tutaj stanowi ono ekonomiczne źródło dochodów. W Ganda, kobieta wyłącznie poświęca się zajęciom rolniczym. Mężczyzna zajmuje się tu robotami stolarskimi, kowalskimi, pilnuje trzody, najczęściej jednak nie robi, oddając się włoskiemu *far niente*. Kobiety same orzą, sieją, zbierają, — co zresztą niewielkiego wymaga trudu, z powodu nadzwyczajnej urodzajności ziemi.

«Rzeczywiście, praca około roli jest tu bardzo ograniczoną; hodują roślinę «patat» która wschodzi niezmiernie łatwo; banany i platany rosną same, tworząc niezmiernie lasy; uprawiają też kukurudzę, lecz jedynie tylko w celu wyrabiania «pombe» (zapewnie rodzaj ciasta). W ogrodach króla i małej tylko liczby znakomitszych dygnitarzy, na drobnych kwaterkach sadzą cebulę, uprawiają cukrową trzcinę i ryż. Wszystkie roboty ciężkie są udziałem kobiety. Do nich należy chodzić codziennie do lasu po banany i nosić wodę z miejscowości nieraz bardzo odległych.

«Mieszkańcy Ganda biegli są we wszelkich wyszyciach. Roboty ich kuśnierskie nie pozostawiają nic do życzenia, i mogłyby śmiało walczyć o lepsze z wyrobami paryżskimi. Nadto, haftują bardzo delikatne wzory na jedwabiu. Król nawet z zamięłowaniem poświęca

się temu zajęciu; cała jego świta również haftuje, a jeden przed drugim stara się odznaczyć na tem polu i pozyskać uznanie królewskie.

«Speke mówi, że w czasie jego pobytu w Ganda, król skazywał na śmierć dziennie od 80 do 100 osób. Dziś już to nie ma miejsca. W ogóle, od czasu bytności tu Speke'go, charakter Mtezy uległ zupełnej zmianie; równaż zmiana postrzegać się daje w obyczajach całego narodu.

«Sposób wykonywania wyroków śmierci jest tu nader ciekawy. Na skinienie króla, które ma oznaczać skazanie na śmierć, nieszczęśliwego chwytają oprawcy (agenci policyjni mający za godło sznur); zakładają mu na szyję pętlę, i końcem sznura związują ręce na piersiach. Tym sposobem skazany nie może rąk opuścić, albowiem sam zaciągnąłby pętlę i udusił się. Drugą taką samą pętlę zakładają mu na szyję, z tą różnicą, iż koniec sznura z tyłu szyi przeciągają przez kolumnę paucierzową, pomiędzy nogami i następnie przywiązują do pierwszego sznura, krępującego ręce na piersiach. Tak więc znów skazany nie może podnieść rąk do góry, albowiem zaciągnąłby drugą pętlę i udusiłby się. Nieszczęśliwy zesnurowany w ten sposób, najspokojniej idzie za swoim oprawcą; nikt na niego nie zwraca uwagi, nikt się temu nie dziwi. Oprawca i skazany oddalają się rozmawiając ze sobą, a przyszedłszy na brzeg strumienia, lub innej jakiej miejscowości przeznaczonej do tego rodzaju operacji, pierwszy z nich jednocześnie pociągnięciem za oba sznury, w mgnieniu oka dusi ofiarę.

SZKICE

Z DZIEJÓW I ESTETYKI OGRODNICTWA.

(Ciąg dalszy.)

Przestrzeni tu nie brak, rozmaici też wielcy książęta, nie psując charakteru ogrodów, wprowadzili tu uprawę roślin użytecznych, jakoto morw i ziemniaków. Plan ogólny i ornamentacye ogrodu Boboli, są dziełem Mikołaja Biaccini'ego i Bernarda Buontalenti'ego, którzy w 1550 roku założyli tę wspaniałą siedzibę.

Na około Florencyi znachodzimy mnóstwo willi historycznych—jakoto: *Poggio imperiale*, która z rąk Cosmusa I Medycejskiego przeszła do Orsinich, następnie do Odescalchich i Magdaleny Austryjackiej. Wchodzi się do tej rezydencji od strony Florencyi przez wzgórze wysadzone wspaniałą aleją cyprysową—powyżej wznosi się pagórek Arcetri, słynny z swych winnic. Dalej ciągną się wille: *del Giojello*, w której Galileusz spędził ostatnie lata swego życia—*Mozzi*, ulubione miejsce pobytu Cosmusa starego—*Careggi*, gdzie Savonarola odwiedził na łożu śmiercielnem Wawrzyńca Medyceusza, i nie udzielił mu rozgrzeszenia—*Rimuccini*, dziś *Palmieri de tre visi*, schronienie w czasie morowej zarazy w 1348 roku bohaterów Boccaccia—wreszcie *Pratolino*, dziś zniszczone i puste, którego wodotryski i piękne plantacye odrysowane przez Buontalenti'ego, zachwyciły niegdyś straszliwą i romantyczną wenecyanę, Biankę Capello. Widzieć tu jeszcze można kolos Apeninów, dzieło Ammanati'ego. Tragiczne dzieje Bianki Capello i Wawrzyńca Medyceusza rozwiązują się w *Poggio a Catano*, prześlicznej wielkości willi, przerzniętej rzeką Ombrone, gdzie twó-

cza wyobraźnia znakomitego architekta Juliana de Sangallo, znalazła szerokie pole popisu.

Piza i Padwa chlubią się swemi ogrodami botanicznymi, założonemi w 1544 i 1545 roku, należącemi zatem do najstarszych w Europie. W Pesaro książęta Urbino posiadali parki. Genua okazuje oczarowanemu turyście ogród słynnych Doriów. Zniszczone kolumnady, chaszcze rozrastające się obecnie w dawnych alejach, nie mogą odjąć tarasom wybitnej ich piękności i widoku morza, zabarwionego żywszym od niebios błękitem, morza, którego fale zdają się być złożone z szafirowych kryształów.

Ogrody Rzymu i pobliskich mu gór, należą do epoki nie późniejszej od szesnastego wieku—poprzedzają one wszakże styl klasyczny i ściśle się wiążą z epoką odrodzenia. Dążność do wspaniałości przechodzi w nich w przesadę—wdzięk przerabia się w maniérę. Labirynty, przepyszne wschody, jakby przeznaczone do obrzędów uroczystych zwyciężkiego ludu, prowadzą do lichego domku zdziwionego i zawstydzonego swym olbrzymim piedestałem. Wszędzie tu marmur, łupek i cegła, powyginane bukszpany i cisy rysujące arabeski i godła, szafy i posągi wygrywające melodye muzyczne z pomocą rozmaitych instrumentów wodą poruszanych. Prezydent Bosses nie bez pewnej słuszności szydził z festonów roślinnych i kamiennych i z osobliwych koncertów hydraulicznych, o których niżej wspomniemy. Niema miejscowości bardziej uprzywilejowanej od Tivoli. Jej *grotta Syren*, wody kryształowej przejrzystości, wieczysta świeżość mu-

rawy, cieniste stoki parowów głębokiej doliny, pociągaly Mecenasa, Kwintyliusa Varusa i Horacego. Słynna Zenobia, zwyciężona i wzięta do niewoli przez Aureliana, tu zakończyła głośne swe życie. W czasach nowożytnych ludzie zamożni usiłowali w tej miejscowości wystawić dla siebie uroczą ustron, lecz smutny stan finansowy rzymskiego skarbu i niedbalstwo właścicieli pobrażczy rzeki Teverone, spowodowały w te okolice, niegdyś słynne ze zdrowego powietrza, niszczącą wilgoć, wytwarzającą chorobliwe miazmata, i przywiodły do ruiny przepyszne wille zbudowane i pielęgnowane przez najpierwszych artystów z epoki odrodzenia.

Willi książąt d'Este, którą Pirro Ligorio odrysował w 1549 roku dla kardynała Hipolita d'Este, już w 1730 roku została opuszczoną.

Gdyby, powiada prezydent Brosses, ogrody jej nie były niedbale utrzymywane, przewyższyłyby niewątpliwie istniejące w Frascati, ze względu zwłaszcza obfitości w nich wody.

Położenie ich było najszcześliwszem, opływały we wszystko. Posiadłość ta łączyła wzgórze z rzeką niżej przepływającą, pozwalając, że tak powiemy, sięgnąć ręką do łożyska Teverony. Istniało tu przeszło tysiąc wodotrysków; życzyliby wszakże należało, aby z tego tysiąca zniesiono przynajmniej dziewięćset lichych strug i bawidełek iście dziecinnych, a zabezpieczono pozostałe od rdzy i zniszczenia.

Wyobraźmy sobie dwie linie wodotrysków, a pomiędzy nimi kanał przerzynający taras. Tu woda wyrzucana w postaci słupa — tam sadzawka smoków, wodotryski Bachusa, Trytona, Arethuzy, Pegaza, dalej grotty Wenery i Sybilli. W końcu tarasu, od strony miasta, wody napływały do ogrodu przez portyk ozdobiony kolosami i tworzyły taflę wodną niepospolitej szerokości i głębokości. W sąsiedztwie *Roma antiqua*, rozkrzewiony gaj posiadał instrumenta muzyczne, na których wiatr wygrywał melodye. Ptaki sztuczne, poruszające skrzydłami, śpiewały za pomocą przewodów powietrznych i wody. Przypominało to powiatki cudowne, opowiadane dzieciom o jabłku śpiewającym, o tańczącej wodzie i małej ptaszynie wszytkoznawce. Cyprysy tarasowe rozrosły się tu kolosalnie, dodając okazałości pierwszemu planowi i niezmierzonej perspektywie, w której Rzym stanowi najdalszą głębię.

Wzgórza tuskulańskie, aż do najwyższych swych wierzchołków, nie są niczem innem, tylko rozległym ogrodem, należącym do czterech czy pięciu rodzin książęcych. Jakież to wspaniałe ogrody! Nie licząc już Piccolomini'ego, znajdujemy od wschodu stuletnie platany willi Falconieri (1548 r.) — dalej na wyżynie kasyno Ruffinella, zbudowane przez Vanvitelli'ego, w miejscu gdzie stało niegdyś gimnazjum Cyclerona. Niżej Taverna, Conti Torlonich i Mondragone Borghese'ów, z pałacem liczącym czterysta okien, zdumiewającymi kuchniami, bogatymi kominkami, z pięknym portykiem zbudowanym przez Vignola i przepyszną aleją zielonych dębów. W końcu, na zachodzie, słynna willa Aldobrandini — góra przerznięta tarasami osłoniętymi zielenią — grotty i wodospady, dziś pozabawione wody, ozdabiane przez Jakóba de la Porte i Fontanę, dla synowca Klemensa VII, który w ciągu dwóch lat wydobył pięć milionów z kufrow swoich wujów.

Z tych wyżyn graniczących z willą Cyclerona, widząc w dali góry Sabińskie, winnice zdobiące ich podnóże, i ciche okolice Rzymu, zasłane szczątkami wodociągów i ruinami architektury — wszystko to przedstawia się jak kostnica cmentarna. Aleja platanami wysadzana, szpalery grabowe, architektonika wschodów, balustrady i tarasy wzbudzają powszechny podziw w willi Aldobrandini. Przy wejściu opartem o górę, z portyku

przestrojonego kolumnami i posągami, wylewają się wody napływające z wyżyn w kaskadach. To letni pałac włoski, urządzone dla wielkiego pana z klasycznym poglądem na sztukę, pojmującego naturę według krajobrazów Poussin'a i Klaudyusza Lorrain'a.

Wielki wodotrysk w belwederze Aldobrandini, wyrzucał wodę z przerażającym szumem — który sprawiała woda i powietrze mieszące się z sobą w rurach w tym celu urządzonych. Wzgórze przedstawiało trzy piętra ozdobione portykami i fasadami wiejskiej architektury, wodospadami i wodotryskami, pobudowanymi na całej jego powierzchni. Na najwyższym piętrze kręcone kolumny wyrzucały wodę w snopach spiralnych.

Aleje w nizinie wysadzone drzewami pomarańczowymi — gradusy, balustrady i wazony pełne mirtów i granatów w jednej linii, zestawione z wawrzynowemi palisadami, nie miało przyczyniały się do upiększenia tej miejscowości. Chcąc mieć wyobrażenie o ponętach i osobliwościach willi, potrzeba odczytać opisy turystów którzy zwiedzali ją w ostatnim stuleciu. De Brosses opisuje nam tę willę z właściwą mu werwą gallicką.

«Fasada budynku, powiada, ma dwa skrzydła kątownate w postaci grot zbudowane. W jednej z nich centaur trąbi na rogu, w drugim Faun wygrywa na flecie za pomocą pewnych kanałów, dostarczających powietrza instrumentom owych kamiennych wirtuozów. Oplakana jest przecież ta muzyka. Obadwa ci panowie mogliby wrócić na niejaki czas do szkoły wraz z dziewięciu Muzami, popisującami się w sąsiedniej sali ze swym mistrzem Apollem. Koncert jaki dają te figury na górze Parnasu, za pomocą tegoż sztucznego przyrządu, dość lichy. Wynalazek ten zdawał się, mnie przynajmniej, dziecinny, i niekoniecznie przyjemny. Chłodno się patrzy na te dziewięć figur kamiennych, pomazanych kolorami. Opodał Pegaz uderzeniem kopyta dobywa źródła Hippokreny. Gdyby owe księżniczki i ptaki, nie zadawały sobie trudu rozbijania głów zwiedzającym ten salon, byłby bardzo miłym w czasie lata. Kanały przeprowadzone pod posadzką, roznoszą tu prąd świeżego powietrza. Zasiadliśmy na placu belwederskim w najlepszej wierze przysłuchując się wygrywaniu Centaura na rogu, ani domyślając się obecności całej setki małych zdradzieckich rurek, rozprawdzonych między spojeniami kamiennymi. Nagle rurki te wyrzuciły na nas kaskadę wody. Zasługuje tu na szczególną wzmiankę mały, ruchomy wschodek, za nastąpieniem którego wytryska woda, a strumienie jej krzyżują się we wszelkich kierunkach, z góry, z dołu, z boków. Pochwyconym zostajesz w tę pułapkę i nie możesz z niej się wydostać. Widziałem wesołe towarzystwo, które weszło do oberży całkiem przemokłe i zmieniawszy ubranie wróciło do kaskad, lubując się widocznie w tym niesmacznym dla mnie żarcie — i powtórnym też uraczone zostało wylewem. Zabrakło sukni suchych i trzeba było położyć się spać w mokrych».

Willi Borghese pomimo swej rozległości i powabów, nie dorasta Frascatijskiej, pełnej czaru poetyckiego. Przenosimy nad nią przepyszny ogród Ludovisi, z jego wawrzynowemi płotami, samotnym lasem zielonych dębów, aleją stuletnich cyprysów, pamiątkami starożytności i ogrodzeniem wytworzonem przez mury Rzymu — co wszystko stanowi ruinę naturalną. Willa Borghese, położona w niewielkiej odległości od Bramy Ludu, jest w dnie świąteczne miejscem publicznej przechadzki. Jest to obszerny park, cztery mile mający obwód, wystawiony kosztem skarbu papieżkiego za czasów Pawła V, wuja Borghesów, i pieniędzmi samychże Borghesów.

Przy wejściu, portyk egipski sprawia najgorsze wrażenie — wewnątrz jego natomiast więcej harmonijnej,

ba, nawet i całkiem klasyczne. Tu perystyl, tam mała świątynia, dalej ruiny, kolumnady, portyk, balustrady, wielkie okrągłe wazony i rodzaj cyrku. Na gruncie fałistym, powyginanym, rozsiadły się piękne łąki porośnięte wszędzie czerwonymi wietrznicami (*anemonae*) giętkimi i drgającymi. Odosobnione sosny, rysują na horyzoncie swe trzony wysmukłe i głowę poważną — proste i żłobkowane jak kolumny, dźwigają swą kopułę w cichy lazur. Na zakrętach alej olbrzymie dęby wznoszą swe pnie okrągłe, wyrównyujące objętością najpotężniejszym drzewom.

Papieże poświęcali znaczne sumy na upiększenie swych pomieszczeń. Ogrody Kwirynalskie założone w siedemnastym stuleciu przez Papieża Urbana VIII, rozpościerają się od podnóża do szczytu stoku. Zdaje się nam, że przechadzamy się wpośród krajobrazów *Perelella*, postępujemy wśród szpalerów grabowych, cyprysów powycinanych w wazony i kwater kwiatowych obsadzonych bukszpanami wyobrażającymi kolumnady i posągi. Ogród cechuje się chłodną foremnością i powagą — więcej przystoi ziemi włoskiej niż francuskiej. Graby w nim łączą się z wawrzynami i bukszpanami, opierającymi się dżdżystości zimy i upałam lata. Dęby korkowe nie tracą nigdy zielonych liści, w każdej porze roku dają cień gęsty — mury z trwałych krzewów wytworzone powstrzymują silne prądy atmosfery. Woda tryska ze wszystkich stron — pociąga wzrok swym różnorodnym ruchem i zasila drzewa w alei. Z balustrad widzieć się daje całe miasto, *S-ty Piotr* i *Janiculum*, którego linia wężowata fałuje w purpurze zachodzącego słońca. Dalej zstępujemy z wielkich schodów o spadku łagodnym aż do sadzawki środkowej, w której pięćdziesiąt wytrysków wodnych gromadzi swe wody modrawe. Obok, rotunda pełna mozaik, nęci pod swe sklepienie cieniem i świeżym powietrzem. W pięknym ogrodzie Watykańskim znajdujemy ślady sztuki z epoki odrodzenia — a mianowicie rozległe kwatery kwiatowe założone przez Mikołaja V, powiększone i przyozdobione przez Juliusza II wspianą architekturą, według rysunku Bramante. ⁽¹⁾

W fasadzie głównej budynków go otaczających napotyamy niszę, w której mieszczą się dwa pawie i wielka szyszka sosnowa z brązu, które to ornamenta przystały niegdyś tamy Adryana.

Dalej napotyamy ogród, w którym Pius IV zlecił zbudować znakomitemu architektowi *Pirro Ligorio*, okazałe kasyno ozdobione prześlicznymi kolumnami i posągami. To willa *Pia*. Mnóstwo tu sadzawek i wodotrysków, z pośród których wyróżnia się mały zbiornik brązowy, wyrzucający wodę z wielkim szumem aż z pięćdziesiąt wytrysków. Cacko to niewielkie lecz zajmujące. Wyobraża ono rodzaj okrętu o dwóch rzędach dział — około jego masztów, rej i bander, strugi wody tworzą liny i żagle — działa zaś wyrzucają snopy wody. Obok tego liczne wytryski wodne oblewają od szczytu do podnóża skałę osłaniającą sadzawkę i wodotrysk. Wojowniczy *Juljan II*, współczesny *Michałowi Aniołowi*, polecił znakomitemu architektowi *Vignoliemu* nakreślić plan wytwornej willi i zbudować ją poza murami Rzymu, od strony Bramy Ludu. Kolumny korynckie podpierają tu portyk kolistego podwórca. Z lewej strony rozwija się szeroka pochyłość, którą można przebywać konno — wiodąca do rozkosznej loggia (łóży) opartej o kolumny i zaopatrzonej obszernym balkonem. Tutaj to *Juliusz* po wieczery rozprawiał o literaturze i sztuce z *Michałem*

Aniołem, *Rafaelem* lub *Bembem*. Mury tej budowli oparły się spustoszeniom czasu, lecz ogrody znikły. Karczory nurkują się w wodospadach, praczki piorą chusty na krawędzi zbiorników marmurowych. Kolumny nurzają się dziś w gnoju, a szopy zasłaniają piękny rozkład budowli.

Przytoczyć nam tu wypada słowa Prezydenta *Brosses*, określające wyspy *Boromejskie* na *Lago-Maggiore*, a mianowicie *Isola Bella* przyozdabianą w siedemnastym wieku (1670 r.) przez księcia *Witaliena Boromeusza*.

«Mnóstwo arkad, powiada on, zbudowanych w pośród jeziora, podpira górę piramidalną, z czterech boków przerzniętą trzydziestoma sześcioma tarasami piętrzącymi się nad sobą — innymi słowy, dziewięć tarasów przypada na jeden bok góry. Liczba to wszakże nie tak wielka, gdyż budowle zajmują znaczną część w tej piramidzie. Każdy taras przyozdobiony jest w głębi palisadą złożoną z jaśminów i granatów lub drzew pomarańczowych, a na krawędzi przystrojony balustradą, zapełnioną wazonami kwiatów. Szczyt piramidy wieńczy statua konna, tworząca wodotrysk, a cztery narożniki upiększone są posągami, obeliskami i wodotryskami.

Całość przypomina nam pałace zaczarowane wschodnich powieści. Ogród jest bez porównania ponętniejszym z wejrzenia niż wewnątrz, chociaż i tu niektóre jego części przedstawiają wytworność niepospolitą, jak gaje drzew granatowych i pomarańczowych, korytarze grot, a przede wszystkim szerokie szpalery cytrynówki, i drzew cytrynowych obciążonych owocem».

W wielu miejscach ogrody te mogą nie budzić wrażeń estetycznych; bądź co bądź tworzą one piękną całość. Trudno znaleźć coś wspanialszego i weselszego nad wybrzeża jeziora *Lago-Maggiore*, z ich przepyszną roślinnością i horyzontem zakończonym łańcuchem gór śnieżystych.

«Nie potrzeba odbywać podróży do Włoch ani gdzieindziej, powiada *Ollivier de Serres*, dla zachwycenia się sztuką ogrodniczą, gdyż Francja przewyższa w niej wszystkie narody i tworzy uczoną szkołę, z której czerpać można naukę.»

Ducerceau biegły architekt, opisujący od 1576 — 1579 roku piękne rezydencje środkowej Francji, wymienia mnóstwo ogrodów, które nie ustępują bynajmniej słynnym wiejskim siedzibom włoskim. Do takich należy *Folembray*, z parkiem mającym milę francuską obwodu. *Vallery* (o pięć mil francuskich odległe od *Fontaineblau*) z zamkiem otoczonym sadami i winnicami, tudzież wielkim ogrodem, dotykającym do stawu i sokolarni, osłoniętym od zachodu galerią o dwudziestu dziewięciu arkadach sklepieniowych. *Beauregard* i *Bury*, posiadające ogrody najforemniej czworoboczne, podzielone na małe kwadraty, z dwóch stron okolone galeriami ciesielskiej roboty, oraz pawilonami na każdym narożniku. *Montargis* z galeriami w stylu klasycznym, strojnemi bluszczem i ogrodem podzielonym na małe kwadraty, wysadzone drzewami karłowatymi. *Blois* z prześlicznymi kwaterami kwiatowymi, otoczonymi winem i z długą aleją wiązów, sadzonych w cztery rzędy, i łączących się z lasem pobliskim. *Chantilly* przerobione i ozdobione przez *le Notre'a* — wreszcie *Chenonceaux*, *Verneuil*, *Anet* i *Gaillon*. Te trzy ostatnie, przewyższają jak się zdaje inne wdziękiem położenia i umiejętnem z niego użytkowaniem — posiadają taras i rozległą perspektywę. Do wytwornych ogrodów francuskich należy bezwątpienia istniejący w *Saint Germain*, nad którym panują przepyszne galerie, otwierające szeroką perspektywę na uroczą dolinę *Sekwany*. *Ducerceau* wychwala niewyczerpane wody w *Verneuil* i labirynt, któremu z łacińska nadał nazwę *dedalus*.

Pomimo licznych przeróbek dokonanych w *Fontai-*

⁽¹⁾ Pod tą nazwą dał się poznać znakomity budowniczy włoski *Donato Lazzari*, ur. w r. 1444, zmarły w 1514; r. był on mistrzem w stylu odrodzenia. *Bramante* był niemniej niepospolitym malarzem.

nebleau, ogrody jego nie zmieniły przecież swej dawnej fizygnomii, i noszą na sobie do dziś dnia cechę stylu odrodzenia. Charakterystykę główną ogrodów tej miejscowości stanowi rozległy staw, utrzymywany przez olbrzymią groblę, zasadzoną czterema rzędami wierzb, tudzież różnica zachodząca między poziomem podwórza wodotrysku a wielkiej kwatery kwiatowej. W Fontainebleau znajdujemy prócz tego miejsce wyznaczone do gry w piłkę, palestrę, i równie jak w innych willach bukszpany ocieniające fosy zapełnione wodą, poobcinate cisy, altanki i galerie ciesielskiej roboty, podpierane karykaturami pomalowanymi farbą zieloną, wreszcie grotty, wodotryski i pomniki w stylu przypominającym pawilon Pomony.

Henryk IV przyłożył się wielce do ozdobienia Fontainebleau — wznosił on w środku kanału kolosalny posąg Tybru, odlany za Franciszka I, a na wielkim stawie przesłeczny pawilon ośmioboczny, wybornie nadający się do tajemnych konferencji i rozmyślań. Król ten obok tego urządził sadzawki w ogrodzie sosnowym, ozdobił wodotryskami kwatery kwiatowe, otoczył je trwałymi palisadami i ocienił starodrzewem. Z jego polecenia warzywa cofnięte zostały na dalsze plany i ogrodzone powabnymi galeryami, które z jednej strony łączyły się z wielką kaplicą i pawilonem zegarowym, z drugiej zaś dotyczyły królewskich apartamentów. Piękne te budowle zniszczone zostały przez pożar, a na ich miejscu Ludwik XIV zbudował oranżeryę. Piękny park wiodący z ogrodów do lasu, jest również dziełem Henryka IV — on to zasadził go i otoczył wielkim murem, mającym milę długości, na którym rozwieszała się słynna «winna latorośl królewska.»

Zaznaczyć winniśmy, że w czasie pokoju jaki zawdzięczała Francja Henrykowi IV, przejawiał się drugi okres epoki odrodzenia, na który wywarła pewien wpływ Florencia. Olivier de Serres, rysując plan parku, zawsze w nim pomieszczał ogród botaniczny okrągły lub kwadratowy. Sztuka wytwarzania z roślin rozmaitych obrazów, dosięgła wówczas zenitu swego rozwoju.

Ciekawe są niektóre szczegóły dotyczące ornamentyki ogrodu w Saint-Germain, i założonych przez tegoż władcę nowych ogrodów w Tuilleries i Fontainebleau, w których ogrodnik Jego Królewskiej Mości, Klaudyusz Molet, złożył dowody swego talentu. Kwadratową tafłę Tuillierów zdobiły bogate arabeski w kwadraty, romby i koła — zdawało się że jest to tkanina suto zahaftowana, używana do pokrywania wytwornych mebli. W pośród bogatej ornamentyki architektonicznej, naśladowującej kwiaty, liście, palmy i t. p., widnieje początkowa głoska królewskiego imienia «H», przepołowiona mieczem, skrzyżowana dwoma berłami Francji i Nawarry, i przewiązana czworoboczną wstęgą z narożnikami złożonymi z małych kwadratów i czterech bocznych półkuli. W środku, królewską cyfrę «H» otaczają sierpy i gałązki laurowe, dwukrotnie związane.⁽¹⁾ W Fontainebleau widzimy owale otaczające koło, z którego rozchodzą się promieniste ścieżki. W ogrodach Saint-Germain, cyfry królewskie były znacznej wielkości, laurowe gałązki caduceusów miały dodane skrzydła, a na wstędze odczytywano te słowa: *Duo proteget unus*, co ma oznaczać, że jedno berło dwom daje opiekę. Olivier de Serres podaje plan ogrodów w Saint-Germain, i sposoby urządzania alei prostych, prowadzenia przekątnych, krzywizn, zakładania grzęd i klombów.

Skażony smak, cechujący upadek sztuki ogrodniczej we Włoszech, nie wywarł żadnego wpływu na królewskie i książęce ogrody we Francji; rozszerzył się natomiast we Flandryi, a głównie w Hollandyi; w bliskości Harlem, szpaler grabowy przedstawia całe polowanie na jelenia. Labuś (L'abbé)⁽²⁾ de Clairmarais, w swym ogrodzie Saint-Omer, pielęgnował grupy gęsi, indyków, żorawi, wyobrażone za pomocą cisów i rozmarynu, — a Labuś z Dunes, był strzeżonym przez żandarmów bukszanowych. Pan de la Borde jeszcze w 1808 roku, widział w Chamboudoin, w prowincyi Beauce, drzewa pokryte liśćmi, których kształt wyobrażał różne instrumenta muzyczne.

Ogrody w Rueil, które, jak mówią, natchnęły Le Nôtre'a myślą urządzenia podobnych w Wersalu, były niewątpliwie najlepiej obmyślane i najbogaciej przyozdobione na zachodzie Europy w pierwszej połowie siedemnastego wieku. Cała ta posiadłość tworzyła przepyszną siedzibę, przy której gasła wielkość zamków królewskich. Należała ona zresztą do rzeczywistego króla, t. j. do Richelieu'go, który wielkim kosztem na tem miejscu wystawił rozkoszny domek, kupiony od niejakiego Moisset'a.

Roboty w Rueil ukończonemi zostały w 1621 roku; kosztowały one ogromną na owe czasy sumę 1,326,000 liwrow. Rozkład wód i w ogóle roboty hydrauliczne przewyższały to wszystko, czego dotąd w tej sztuce dokonano — mnóstwo osobiwości roślinnych i ornamentacyjnych stawiało tę rezydencję książęcą na pierwszym miejscu. Tu kasztany indyjskie, pierwszy raz sprowadzone naówczas do Francji, rozciągały na wiosnę pięciopalczaste swe liście, wydające się jak dłonie rozwarte — tam łuk tryumfalny, będący wiernym odwzorowaniem wzniesionego niegdyś przez Konstantyna, wiódł do bogatej oranżeryi — a dookoła plac mieścił przed fasadą przeszło sto wodotrysków, których wody rozbijały się w kaskadzie o trzech spadkach. Trzy grube słupy spienionej wody, wzbijały się raz jeszcze w górę z obszernego kwadratowego zbiornika, pomieszczonego na końcu kanału.

Nie ma już dziś ani kwater kwiatowych, ani parku i pawilonu na jeziorze, gdzie Richelieu przewodniczył odbywanym tu ministeryalnym naradom. W ośmnastym wieku rozkawałkowana posiadłość w Rueil, uległa całkowitemu zniszczeniu w 1793 roku.

SERYA III.

Ogrody w czasach nowożytnych.

Ogrody klasyczne. Le Nôtre.

Andrzej Le Nôtre, twórca francuskiej szkoły ogrodniczej, słynny nie tyle z geniuszu wynalazczego, ile raczej ze zręczności w korzystaniu z wiedzy swych poprzedników i umiejętnego jej zastosowania, urodził się w 1613 roku. Oddany zrazu malarstwu, złączył się z Lebrunem, wkrótce jednak wszedł na drogę wskazaną mu przez ojca, nadintendenta pałacu Tuilleryjskiego, i zaczął przyozdabiać ogrody królewskie w to wszystko, czego nauczył się w pracowni Vouet'a. Nie jest pewnem czy naśladował bezpośrednio, jak powszechnie utrzymują, system przyjęty w ogrodach włoskich, czy też zapamiętał się na ustrój ogrodów francuskich w Gaillon i Rueil — gdyż między obu temi układami niema żadnej różnicy.

Le Nôtre posiadał smak wytworniejszy od współ-

⁽¹⁾ Symbol ten zwany *Caduceus*, wyobrażanym też bywa w ornamentyce architektonicznej w postaci węzów, ze zwróconemi ku sobie głowami — i bywa godłem pokoju a częściej handlu.

⁽²⁾ Nazwa nadawana we Francji tym, którzy ukończyli studia duchowne, lecz nie przyjęli święceń. L'abbé pobierał dochody z klasztoru, chociaż nie pełnił w nim żadnych obowiązków

czesnych mu mistrzów włoskich i szersze pojęcia o sztuce od artystów francuzkich poprzedzających Poussin'a. Nieporównaną jego wyższość stanowiła jednolitość planów. Ogród w jego pojęciu był tylko przedłużeniem pałacu. Le Nôtre starał się niemniej o to, aby jednym rzutem oka można było objąć całość. Z artystycznego punktu widzenia, pogląd jego wznosił się nad pospolitość ogrodów nieforemnych, zwanych chińskimi lub angielskimi, które mogłyby bez szkody być odłączone od sąsiednich im budynków, gdyż nie stanowią z nimi nierozzerwanej całości.

Najwyższym celem sztuki nie jest bynajmniej naśladownictwo natury, lecz jednoczenie jej czarów z myślą artysty. Jeżeli oko nasze poszukuje harmonii w liniach krzywych, jeżeli parkom nadajemy pozór łąk i lasów, niemniej przeto utwory nasze są sztuczne, lubo więcej zgadzają się z nieładem właściwym przyrodzie, niż ze sztywnym klasycyzmem linii prostych. Zresztą można jednoczyć nieład z porządkiem i sam Le Nôtre często tego próbował w Wersalu, Saint-Cloud i w Meudon.

(C. d. n.)

O PAJAKACH.

— Co to za brzydkie stworzenia!

— Ciało grube, bure, niezgrabne, na nogach tak cienkich, długich, kosmatych.

— Precz z pajakiem! — weźmy się do szczotki, poobmiatajmy te szmaty pajęczyny, której znów tyle namnożyło się po kątach!

Oto zwykle wyrażenia odnoszące się do tych owadów, które bez względu na ścigające je prześladowanie i odrazę, tulą, przywiązują się nawet do siedzib ludzkich. Zdaje się jakby miały na celu nietylko uwolnienie mieszkań od much dekuczliwych, ale może i zwrócenie uwagi ludzi na osobliwość swego ustroju, na wytrwałość, ogledność, dowcip prawie, widoczny w delikatnej a mżolnej swojej pracy — w tak pogardzanej pajęczynie.

W najodleglejszej starożytności zastanawiano się już nad pajakami. Legenda mówi, że kiedy król Dawid doznawszy porażki od wojska krnąbrnego syna swego Absalona, uciekał przed pogonią, ujrzał obrosłą gęsto roślinami pieczarę, i schronił się do niej. Zaledwie ukrył się w najgłębszym zakątku, gdy pająk, wylazłszy ze swej kryjówki, zaczął snuć przędzę i przytwarzać ją do ścian przy wejściu do groty w ten sposób, że cieniuchne nici zamknęły wkrótce cały otwór przejrzystą siatką. Zaledwie ta praca dokonana została, nadbiegli ścigający króla żołnierze; spostrzegli grootę, ale dojrawszy zarazem pajęczynę, rzekli: «O! tedy dawno nikt nie przechodził, patrzcie jak gęsta pajęczyna zasłania cały otwór...» i pobiegli dalej, a ukryty Dawid ocalał.

Salomon nazywał pajaki malutkimi lecz bardzo roztumnymi stworzonkami. Grecy zaś starożytni, podziwiając przemyśły pająka, taką powieścią uświetnili jego pochodzenie:

Arachne, córka pewnego króla frygijskiego, miała się odznaczać nadzwyczajną zręcznością i biegłością w przedzeniu; sława jej rozniósłszy się daleko, doszła aż do Olimpu, i obila się o uszy Minerwy, bogini mądrości, nauk i kunsztów. Wiedzioną ciekawością Minerwa, chciała się naocznie o prawdzie przekonać, i w tym celu przybrałszy postać starej niewiasty, zjawiła się w komnacie, gdzie właśnie zastała pracującą Arachnę, i wezwała ją do przedzenia na wyścigi. Księżniczka przyjęła wyzwanie, wyteżyła całą zdolność swoją i wnet przędziwo ziemianki przewyższyło pięknnością dzieło bogini, która już miała uznać słuszność pogłosek o chwale Arachny, gdy nieogłędna królowna, poznawszy mimo przebrania Minerwę, głośno ostrzegła Jowisza o samowolnem zstąpieniu jego córki na ziemię i o zwycięztwie, jakie nad nią ziemską dziewczycą odniosła. Rozgniewana Minerwa uderzyła Arachnę różeczką i przemieniła ją... w pająka, który odtąd u Greków nazywać się zaczął *arachne*.

Dowcipna ta bajka wskazuje że kiedyś tkactwo, uważane za sztukę, musiało być bardzo cenione, skoro

zajmując rączki królowej, zazdrość bogini kunsztów wzbudziło. Dziś tkactwo zmieniło się na proste rzemiosło; i my także, porzuciwszy poetyczne legendy, z prozaicznej strony rozpatrywać będziemy te zwierzątka.

Mikroskop ułatwił nam poznanie tych cudów przyrody, niedostępnych gołemu oku, które w najmniejszej istocie wykazują mądrość i zabiegliwość natury. Wszystko co żyje, posiada potrzebne a właściwe ku temu narzędzia; ich rozmaitość jest tak wielka, że życie całych pokoleń ludzkich nie wystarcza na ich poznanie; jednak choćby na małej częstce ciała jakiegobądź owadu, można pod mikroskopem bardzo zajmujące ujrzeć zjawiska. Szara powierzchnia ukaże nam się pokrytą kształtnymi prążkami i punktami; kosmate nogi wyglądają jak szczoteczki, których każdy włoszek policzyć można; śliczne barwy okażą się tam, gdzieśmy się ich najmniej spodziewali, a błonka skrzydełka muchy lub komara wydaje się cudną przezroczystą tkaniną. Takim to sposobem poznano i w pajakach wszystkie przyrządy, potrzebne im do łowienia zdobyczy, żywienia się nią i wysnuwania z własnej istoty tej delikatnej przędzy, która im służy do chwytania skrzydlatego łupu.

Gromada pajaków składa się z istot wiele mających podobieństw z owadami, lecz można rozróżnić je zaraz na pierwszy rzut oka po ogólnej postaci ciała i liczbie nóg, a zresztą różnią się one od owadów wieloma szczegółami w wewnętrznej swojej budowie.

W rzeczy samej pajaki mają głowę zrosłą z tułowiem, i pozbawione są różków czyli *macek* właściwych wszystkim owadom; mają cztery pary nóg, a nigdy nawet śladu skrzydeł, nakoniec oddychają zazwyczaj organami do płuc podobnymi, (z wyjątkiem niektórych, posiadających zwykle dychawki) i mają przyrząd krążenia krwi, to jest, posiadają serce, tętnice i żyły.

Ciało ich składa się z trzech części: z głowy, jakęśmy mówili, spojonej z tułowiem, i to się zowie *głowotułowem* (cephalothorax) i z części trzeciej, złożonej już to ze stawowatych oddzielnych pierścieni, jak np. u niedźwiadka, już z jednej masy miękkiej, kulistej i bez wyraźnych działów, jak np. u ptaszniaka. Ta część zowie się *odwłokiem* (abdomen). Nogi, bardzo podobne do nóg owadów, wszystkie są przyczepione do głowotułowia, i prawie zawsze kończą się dwoma chwytynami szponami; długość zaś ich stosunkowo do całego ciała zazwyczaj znaczna, często nieproporcjonalna. Z łatwością nogi te oderwać można, co zresztą baczna na ich filigranową budowę nie byłoby dziwnem, gdyby nie ta własność, że po oderwaniu w krótkim bardzo czasie nanowo odrastają. Powtórna taka kończyzna, jakkolwiek na pozór nie różniąca się od pierwotnej, nie jest jednak tak mocną, kształtną i sprężystą.

Dodać należy, że odwłok stanowiący większą połowę całego ciała pająka, połączony jest z głowotułowem

tylko za pomocą rurkowatego przegubu, będącego jedynym środkiem komunikacji wewnętrznej między temi dwiema częściami.

Na przedniej części tułowu, którą nazwać możemy głową, znajdują się oczy i gęba. Oczu bywa zazwyczaj ośm, w rozmaity sposób ułożonych. W każdym oku, choć takie małe, rozróżnić można przezroczystą rogówkę, za którą leży soczewka i ciało szkliste, dalej siatkówka utworzona z rozgałęzienia końca nerwu optycznego i powłoki materii koloryzującej. Nie wiemy nie jeszcze pewnego o narzędziach słuchu u pajaków, lecz są liczne dowody istnienia u nich tego zmysłu; zdaje się nawet, że niektóre z nich nie są obojętnymi na dźwięki muzyki. Dotykanie skutecznia się głównie końcami nóg i przysadkami, któremi pyszczek jest opatrzony.

Pajaki są zwierzętami drapieżnymi; poprzestają zazwyczaj na wysysaniu soków ofiar schwytanych; ażeby im ułatwić pokonywanie istot silniejszych, przyroda opatrzyła niektóre przyrządem do jadownego kąsania. Wiele z nich żywi się owadami, które żywcem chwytają, i te mają pyszczek opatrzony parą żuwaczek (szczęk) uzbrojonych ruchomymi hakami. Inne pajaki posiadają żuwaczki ukształcone w formie kleszczy, jak to widzimy u niedźwiadka. Pasożytnie zaś zwierzątka należące do tej gromady, które wpijają się w ciała zwierząt ssących, mają pyszczek wydłużony nakształt trąbki, z której wychodzi rodzaj lancetki, ze szczęk utworzonego.

U pajaków chwytających żywą zdobycz, ruchomy hak żuwaczek ma blisko wierzchołka maleńki otwór, będący ujściem kanału od gruczołu jad zawierającego, i tym to otworem wydostaje się na zewnątrz jad, który zapuszczony w ranę pociąga za sobą prawie natychmiast umorzenie upolowanych owadów. U naszych krajowych pajaków jad ten jest nadto słaby, ażeby mógł człowiekowi szkodzić, i dla tego niesłusznie wiele osób nabrzmienie lub czerwoność ukazującą się niekiedy na skórze, przypisuje ukąszeniu pajaków.

Pajaki znoszą jaja jak owady. Wielka ich liczba ościela jaja oprzędem jedwabistym nadzwyczaj delikatnym. Niekiedy matka pielęgnuje swoją rodzinę, trzymając ją przy sobie, nawet piastuje na grzbiecie dzieci, gdy są jeszcze zbyt słabe ażeby chodzić mogły, i otacza je najczulszą opieką i troskliwością. Pajaczki tymczasem rosną, ale nim dojdą zupełnie dojrzałego wieku, po raz kilka linieją, a niektóre odbywają rodzaj przemiany, bo mając z początku tylko trzy pary nóg, w późniejszym wieku nabywają czwartą. Co do zmyślności, ta czasem nie mniej bywa zastanawiającą jak u innych owadów, niekiedy nawet wypadaloby przyznać im bardziej rozwinięte zdolności, gdyż zdarzało się że pajaki dając się czegoś nauczyć, okazywały pewien stopień pojętności.

Naturaliści podzielili pajaki na kilka działów, stosując się do różnic zachodzących w budowie ich odwłoka, jako też organów jakimi te zwierzęta oddychają.

Podział ten jest następujący:

1) Członko-odwłokowe, mające odwłok stawowato ułożony.

2) Pajaki właściwe, czyli oddychające organami do płuc podobnymi, mające odwłok kulisty, miękki, na którym nieznaczą podziałów.

3) Pajaki dychawkowe, oddychające dychawkami, czyli otworami leżącymi po obu bokach odwłoku, jak to widzimy również u owadów.

4) Bezoddechowe, nie mające organów oddychania należycie wykształconych; pajaki te o ile się zdaje, wciągają powietrze przez powierzchnię skóry.

Warto poznać bliżej zwyczaje i charakterystyki niektórych gatunków, i dla tego gatunki, przedstawiające wybitniejsze cechy tej gromady, opiszemy szczegółowo. I tak, do pierwszego działu należy:

Skorpion czyli *niedźwiadek*, którego odróżniamy dwa gatunki: *Skorpion europejski*, żyjący w południowych krajach Europy; ukłucie jego szkodliwym jest dla drobnych zwierzątek, ludziom jednak nie zagraża żadnem niebezpieczeństwem; przeciwnie, gatunek drugi, większy, tak zwany *afrykański*, strasznym jest zarówno dla ludzi jak i dla zwierząt; długość jego wynosi 6 cali, z powierzchowności podobnym jest do zwyczajnego raka; tułów ma bardzo krótki i nie widać spojenia z odwłokiem, który wydłużony przedstawia się w kształcie ogona złożonego z sześciu cząstek stawowato na siebie zachodzących. Obydwa gatunki opatrzone są dla zabijania zdobyczy i bronięcia się przed napadnięciem jadowitym szponem, zakończającym odwłok niedźwiadka. Przy zastrzonym końcu tego grotu, od spodu widzieć się daje kilka otworków, będących w związku z gruczołem jadowitym, wewnątrz ostatniej części ogona leżącym.—Ukłucie niedźwiadka afrykańskiego, jak już wyżej wspominałem, jest dla ludzi niebezpiecznem a nawet śmiertelnem, jeżeli się nie użyje środków zaradczych. W Azji, gdzie także nietrudno spotkać się ze skorpionem, urządza się widowiska, chwytając *Tarantule* (o której poniżej mówić będziemy) i umieszczając ją razem z niedźwiadkiem w jednym zamknięciu.

Przytoczymy tu opowiadanie pewnej damy, która na Kaukazie przypadkiem była widzem podobnej zabawy:

«Pewien znakomity perski chan, mówi owa dama, przybył z całą swoją familią do Tyflisu, i mnie, jako żonę znacznego urzędnika; którego względów potrzebował, z całym przepychem wschodu złożył ceremonialną wizytę. Odwdzięczając się za tę grzeczność, po niedługim czasie odwiedziłam jego żonę. Pominę tu przyjęcie jakiego doznałam a przystąpię do opowiadania wypadku, który najbardziej utkwiał mi w pamięci.

Siedząc dosyć długo u chanowej, znużona rozmową przez tłumacza prowadzoną, przypatrując się bogatym kobiercom rozwieszonym po ścianach, ujrzałam nagle tuż nad nami ogromnego niedźwiadka. Krzyknęłam—moja gospodyni odwróciła głowę w tę stronę, w którą poglądałam z przestachem, i w tej samej chwili skorpion usiadł na jej ramieniu.

Zbladła, ale nie poruszając się z miejsca śledziła wzrokiem szybkie ruchy okropnego owadu; wszystkie jej niewolnice bez tchu prawie patrzyły na każde jego poruszenie, żadna jednak nie spieszyła z pomocą. W okropnej obawie patrzyłam na tę niepojętą mi bezczynność w tak przerażającej chwili, bo wiedziałam, że lubo Persowie i Gruzini mają sposoby uleczenia się z jadownego ukąszenia skorpiona, często ono wszakże o śmierć przyprowadza. Dopiero kiedy robak zszedłszy z atlasowej sukni oddalił się o 2 stopy od nóg chanowej, jedna z niewolnic uchwyciwszy ze stolika próżną głęboką czarę, przykryła nią niedźwiadka, i gdy ten szukając wyjścia przyczepił się do dna naczynia, przewróciła szybko czarę i nakrywszy szczelnie pokrywą, postawiła na stoliku.

Pytałam o przyczynę szczególnej obojętności w czasie tak widocznego niebezpieczeństwa; odpowiedziano mi, że skorpion rzadko kiedy rani, nie będąc rozdrażnionym, i że najniebezpieczniej jest przeszkadzać mu w biegu; dla tego mieszkający tamtych okolic wolą patrzeć spokojnie na skorpiona leżącego po obnażeniu ich ręce, niż najłżejszem poruszeniem drażnić strasznego nieprzyjaciela.

Skorpion ciągle usiłował wyjść ze swego przezroczystego więzienia; z obawą lecz i z ciekawością przypatrywałam się niespokojnym jego ruchom; pierwszy raz widziałam z tak bliska tę groźną istotę. Wtem moja gospodyni przypomniała sobie, że poprzedniego dnia właśnie schwytano ogromną tarantulę, rodzaj jadownego pajaka,

który jest odwiecznym nieprzyjacielem skorpiona. Żona chana wyrzekła kilka słów do jednej ze służebnic, a ta za chwilę przyniosła kryształową również zakrytą czarę w której uwięzioną była tarantula, zbliżyła się do stolika, obejrzała pilnie oba naczynia, i dając znak ręką swojej towarzysze, aby przystąpiła bliżej ze skorpionem, przysunęła z wolna jedną czarę do drugiej. W mgnieniu oka brzękła pokrywa naczynia zawierającego tarantulę i ta wpadła w naczynie, w którym się skorpion znajdował. Tym sposobem dwaj śmiertelni nieprzyjaciele ze wszystkich stron zamknięci, ujrzeni się w miejscu zaledwie 6 cali średnicy mającem. Powtarzam, że to wszystko działo się o dwa kroki od nas i że lada niezręczność niewolnic mogłaby na nas wypuścić dwa najokropniej rozdrażnione jadowite owady. Z przestrachem i litością przyglądałam się tej osobliwej walce: niedźwiadek obracając się z wolna na wszystkie strony, wystawiał groźny swój ogon, a żółto-brunatna z długimi kosmatymi nogami tarantula, krążąc w koło z nadzwyczajną szybkością, szukała miejsca, gdzieby również bezkarnie mogła zapuścić swoje jadowite haki.

Niewolnice chanowej patrząc na tę walkę, która się w Gruzji do największych przyjemności liczy, zapomniały na chwilę o zwykłym uszanowaniu dla swej pani, i zbliżając się pomału, otoczyły nakoniec stolik, gdzie się ta ciekawa odbywała scena.

Walka skończyła się nareszcie śmiercią skorpiona.

Uśmiechnęła się pani domu, niewolnice klasnęły w ręce z okrzykiem radości, a ja nie mogąc jeszcze ochłonąć ze strachu, pożegnałam moją uprzejmą gospodynię, przysięgając sobie w duchu, że ta pierwsza wizyta będzie ostatnią».

Dodać tu należy, że skorpiony żyją w gorącym klimacie, gnieźdząc się w szczelinach skał i głazów, lub w wilgotnych miejscach. W czasie wielkich upałów kryją się w siedzibach ludzkich ku nadzwyczajnej trwodze mieszkańców.

Do pajaków właściwych, których jest bardzo wiele gatunków, należy między innemi wspomniana już *Tarantula*, która przez mnóstwo bajecznych o niej powieści, głośną się stała. Powiadano że jej ukąszenie przyprowadza ludzi o pomieszanym zmysłach, a nawet spowodza szaleństwo, i że to uleczeniem być może jedynie za pomocą muzyki, która pobudzając w ukąszonym niezwykłą chęć do tańca, trudem ztąd powstałym moc trucizny odejmuje.

Jak zwykle, w bajkach bywa część prawdy; przekonano się też w końcu, że ukąszenie, mianowicie w czasie upałów letnich, rzeczywiście sprawiało zapalenie i gorączkę, ale umysłu nie mieszało, ani też do tańca chęci nie wzbudzało. Bajka ta musiała być wymysłem szarlatanów, którzy udając szaleństwo, chcieli zjednać sobie u widzów politowanie i wyludzić datki pieniężne jak najobfitsze.

(D. c. n.)

DROBIAZGI.

Rzeczy nie każdemu wiadome. Pod tym nadpisem tygodnik paryzki «La Science pour tous» podaje wyjątek z jednego z dzienników nowojorskich «Graphic», który pisze, że zanieczyszczenie rzek jest przedmiotem do najwyższego stopnia zajmującym uwagę Anglików, trokliwych o zdrowie publiczne. Złe to przybiera rzeczywiście rozmiary zastraszające. Nie jest ono wypływem jedynie kanałów miejskich. Nad brzegami rzek wznoszą się fabryki najrozmaitsze: fabryki wyrobów chemicznych, maszyn, farbiernie i t. p. z których wszelakie nieczystości, zatruwające wodę, do rzek spływają. Gdzieśniedzie, jak np. w Bradford, woda bywa tak zepsuta, że gdy się jej zaczerpnie z rzeki i zbliży do ognia, zapala się płomieniem. Człowiek pewien, który wpadł przypadkiem do rzeki i napił się trochę wody, umarł z tego. Wyżewy rzeki Clyde sprowadzają choroby podczas lata, a wody rzeki Mersey cuchną nieznosnie. W rzece Bourne woda jest żółta jak okra a gęsta niby klej; koń, gdy się jej napije, zdycha. Wszystkie mniej więcej rzeki są w ten sposób zanieczyszczone, a ryby, które jeszcze zdołały się tu i owdzie w nich utrzymać, są tak chorowite, że nie są zdatne na pokarm, a nawet szkodliwe. Na stałym lądzie Europy, a mianowicie u nas, gdzie przyczyny złego, mianowicie fabryki, nie istnieją jeszcze w tak

zastraszającej liczbie jak w Anglii, stan wód jest znacznie lepszy; nie brak jednak pewnych wskazówek, nawet na naszej Wiśle, które przypominają się zdają, że wszelkiemu złemu łatwiej radzić w początkach, aniżeli gdy się już w zatrwajające wzmoże rozmiary.

Z Turkestanu. Chińczycy, jak wiadomo, pragną swój niegdyś Thian-Szan-Nan-Lu, czyli wyższy Turkestan, odebrać Jakubowi Begowi, awanturnikowi, który kraj ten od niebieskiego państwa oderwał. Wysłali więc przed trzema laty wielką armią przeciw temu nieprzyjacielowi; atoli armia ta, jak pisze dziennik «Ausland» dotąd jeszcze nie doszła do Kaszgaru. Wypawiono ją bowiem bez odpowiednich zapasów żywności, a ponieważ wypadło jej przebywać w pustynie, więc musiała się zatrzymywać kilka razy, budować sobie miasta tymczasowe, uprawiać ziemię, siać zboże i zbierać ziarno, żeby żyć podczas marszów zimowych. I dla tego to wojska państwa niebieskiego nie dosięgły jeszcze Kaszgaru, i zapewne nigdy się już w nim nie pojawiają. Wiadomość ta, jeżeli prawdziwa, za co odpowiedzialność zostawiamy poważnemu zresztą piśmu które ją podało, ciekawe rzucałoby światło na cywilizacyjne, ekonomiczne i polityczne stosunki ludów środkowej Azji.

KORESPONDENCYA OD REDAKCYI.

Pani F. J. w Kaliszu.—Żądanych objaśnień i informacji możemy udzielić tylko listownie; prosimy zatem o nadesłanie dokładnego adresu.

Panu Dan. w Lipowcu.—Numera brakujące wysłaliśmy; skarga Pańska na nieregularność w odbiorze numerów jest zupełnie

usprawiedliwioną, lecz nie dotyczy ona Redakcyi, która wysyła pismo jak najregularniej, a nie jest w możności zapobiedz gubieniu się tegoż na pocztę.

Z. Z.—Prosimy o bliższe porozumienie się z Redakcją.

TREŚĆ NUMERU: Do M. B. wiersz przez G. C. — Słódko o polemice literackiej. — Z kroniki rodziny ziemiańskiej, p. K. W. Wójcickiego (c. d.) — Z dziennika podróży po Afryce — p. Linant de Bellefonds. (dok.) — Szkice z dziejów i estetyki ogrodnictwa (c. d.) — O pajakach, p. Dra Z. K. — Drobiazgi. — Korespondencya od Redakcyi. — W dodatku: Najważniejsze odkrycia i wynalazki, według L. Figuiera — ark. 6.

Druk J. Noskowskiego, Mazowiecka Nr. 11.

Redaktor i Wydawca Jan Noskowski.